



ZACZYŃ



T Y G O D N I K

Nr. 25 (30).

Warszawa, czwartek dnia 24 czerwca 1937 r.

Rok II.

CZY NAPRAWDĘ „NIEZROZUMIAŁE” I „NIEPOJĘTE”?

Prasa różnych odcieni nazywa stanowisko ks. metropolity Sapiehy w sprawie przeniesienia zwłok Marszałka Piłsudskiego „niezrozumiałym”, „niepojętym”, „zdumiewającym”, „niesłuchanym” i t. p.

W „Gazecie Polskiej” czytamy: „Jak się dowiadujemy, w czasach ostatnich ks. arcybiskup Sapieha złożony był chorobą, co nasuwa się nam jako jedyne wytłumaczenie tego — niepojętego inaczej konfliktu...”

„Polska Zbrojna” pisze:

„Nie chcemy, by przy tym bolesnym wydarzeniu zabierał głos czykolwiek interes polityczny. Dlatego przestrzegamy by zły czyn człowieczy nie był utożsamiany, ani z wysoką godnością w hierarchii kościelnej, ani z samym Kościołem”.

Nie bardzo to zrozumiałe stanowisko właśnie ze względu na to kto ten „zły czyn człowieczy” popełnił...

Co do nas: to, co się stało, nie jest ani „niepojęte”, ani „zdumiewające”, lecz zupełnie zrozumiałe...

Mamy do czynienia z jeszcze jednym faktem stosunku kleru do Józefa Piłsudskiego. Jeszcze jeden fakt niesłuchanie jaskrawy, uderzający, bijący jak pałą w łeb, ale zupełnie zrozumiały, zupełnie konsekwentny, zażarcie konsekwentny i potworny w tym pościgu za Wielkim Marszałkiem spoczywającym w trumnie...

Czytamy w „Kurierze Porannym”, że „niepodobna... zrozumieć”:

Niepodobna bowiem zrozumieć dla czego metropolita krakowski nie tylko nie chce uwzględnić życzenia Komitetu, ale odmawia woli nawet Pana Prezydenta.

Dlaczego czyni to w sprawie, która nie jest i pod żadnym pozorem nie może być przedmiotem decyzji jednostki zajmującej chociażby bardzo wysokie stanowisko w hierarchii społeczeństwa, bo jest wspólną sprawą nas wszystkich, sprawa zbiorową woli narodowej, naszych serc, naszej najgłębszej troski i potrzeby wewnętrznej?

Zaiste niepojęta jest decyzja metropolity, która — wywołując zdumienie — budzi równocześnie reakcję w najmniej spodziewanej sprawie.

Kult Marszałka Józefa Piłsudskiego i

pamięć o Nim tkwi w instynkcie całego narodu. Wszyscy byliśmy u trumny na Wawelu i wszyscy przy niej stoimy za patrzeni bez przerwy w życie Wielkiego Marszałka i zasluchani w wstrząsający odgłos żałobnych werbli, które zwiastowały nam Jego śmierć i pogrzeb.

Panowie, którzy nie rozumiecie! Panowie, którzy nie rozumiecie, postarajcie się zrozumieć! Albo lepiej: nie używajcie ozdób retorycznych tam, gdzie one są zupełnie, ale to zupełnie zbędne.

Toć wszyscy pamiętamy zatargi z klerem o żałobę, o nabożeństwa, o dzwony... Gdy chodzi o śmierć Józefa Piłsudskiego... A gdy mowa o Jego życiu — pamiętamy również...

12 maja 1935 r. umarł Józef Piłsudski, a w numerze czerwcowym „Rycerza Niepokalanej” w rubryce „Sprawy Polskie” znajduje się taka notatka:

„W ostatniej chwili, już po złożeniu numeru doszła nas żalosna wieść o zgonie Marszałka Józefa Piłsudskiego, który nastąpił w dniu 12 maja roku bież. w pałacu Belwederskim w Warszawie. Przyczyną śmierci była choroba raka żołądka i wątroby. Ostatniego Namaszczenia Olejami św. udzielił ks. Wł. Kornilowicz. Zgon Marszałka Piłsudskiego odbił się bolesnym echem w Narodzie naszym i za granicą”.

Taka notatka w klerikalnym piśmie o olbrzymim nakładzie znajduje się obok dwu innych tej treści (w tej samej rubryce i tym samym drukiem):

„Poznańska rzeźnia miejska wprowadziła ubój bydła elektrycznością. Sposób ten rozwiązuje kwestię tak szeroko dziś omawianego „ubój rytualny”.

„Niedawno zmarł w Wilnie najmniejszy człowiek w Polsce, Szupiański, posiadający zaledwie 45 cm. wzrostu”.

Nie wymaga to żadnych komentarzy! Nawet nie rozumiejący łatwo mogą zrozumieć z czym się ma tutaj do czynienia.

W piśmie Pana Premiera do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej czytamy:

„Zaszedł fakt nie wykonania woli Pana Prezydenta Rzeczypospolitej przez obywatela polskiego w sprawie kultu narodu dla Marszałka Piłsudskiego”.

Książe Sapieha jest obywatelem polskim, ale ks. metropolita Sapieha jest nie tylko obywatelem Rzeczypospolitej — jest sługą Watykanu. Obowiązuje go i obowiązywać musi także inne w gruncie rzeczy prawodawstwo.

Otóż my to doskonale rozumiemy... Ale jednocześnie wiemy, że istnieje umowa Rzeczypospolitej Polskiej z Watykanem, zwana konkordatem... A umowa z Watykanem może być dobra lub zła. Dla Państwa korzystna lub nie. Terminy jej rewizji jak i powody jej rewizji zapewne są w umowie wymienione. Wiemy dalej, że kler katolicki jest zorganizowany jako państwo w państwie...

Więc należy we właściwy sposób uregulować wzajemne stosunki dobrą umową, aby oddawać Bogu co boskiego, państwu i narodowi, co państwowe i narodowe, klerowi co należne sługom Bożym, podległym Watykanowi, ale będącym jako Polacy ludźmi z własnymi przekonaniami politycznymi, którzy doskonale umieją, gdy politykują, tylko formalnie słuchać swoich biskupów i po swojemu politykować w oparciu o prawo kanoniczne i o zasadę, że... pro boszcz na swojej parafii równy biskupowi...

A książe biskup krakowski jest na swojej katedrze Wawelskiej papieżem.

To jest jasne chyba i zrozumiałe.

Mamy wschodniego sąsiada, który sam o sobie dawno orzekł, że w Rosji wszystko jest możliwe.

My z czasów niewoli przenieśliśmy w dzień dzisiejszy pogląd, że Rosja jest Sfinksem... Łamią więc sobie ludziska, skądinąd inteligentni, głowy nad tym, co się w tej Rosji dzieje, bo to przecież... Sfinks...

Ale na litość boską!... Ks. metropolita Sapieha nie jest „Sfinksem”... Siedzi na stolcu biskupim po kniaziu Puzynie... Na tronie biskupim rzymsko-katolickim jako Polak rzucił narodowi i Głowie Państwa: *Liberum veto!*

Cóż tu jest niepojętego? Co tu jest niezrozumiałego?

Starzy endecy: Dmowski z Wasilewskim doskonale to rozumieją, bo historię Polski znają dobrze...

Czyżby poza „Zaczyń” i paru starymi endekami nikt tej historii od Oleśnickich, po przez usunięcie z wydań Skargi Kazania o miłości Ojczyzny aż do Puzyny i losu ks. Bandurskiego nie znał? I to jest niezrozumiałe!... To jest niepojęte!

ZAGADNIENIA POPULACYJNE

W obliczu czy to wiekowych czy dwudziestoletnich zagadnień państwowych nie usypiajmy się tym, że wskaźnik produkcji węgla w pierwszym kwartale b. r. w porównaniu z I kwartałem 1936 r. skoczył w Polsce grubo więcej niż w Niemczech, Anglii etc. Tak samo ten fakt nie czyni z Polski państwa, przodującego gospodarczo, jak fakt urodzenia się znanych czworaczków kanadyjskich nie czyni z Kanady kraju, przodującego pod względem przyrostu naturalnego.

Myśleć państwowo — znaczy przede wszystkim myśleć całościami, a nie kwartałami produkcji.

Co znaczy zresztą dla ogółu „dwudziestolecie“, miara czasu użyta przez p. Kwiatkowskiego na zjeździe Zarzewia? Dla nadętego biurokraty — to jubileusz jego urzędowania, dla akcjonariusza — to 20 rocznych bilansów i wypłat dywidendy, dla podlotka — to nadzieja zamążpójścia lub groźba staropanieństwa, dla zabójcy — to termin kary. Dla Piłsudskiego to wywalczenie niepodległości. Dla Turcji, Italii, Japonii i Niemiec — to olbrzymi skok w zwyż.

W kalendarzu państwowym dwudziestolecie jest terminem specjalnie ważnym i z innego względu. Oto liczba rekruta, która stanie do poboru w r. 1958 będzie na ogół proporcjonalna do liczby urodzonych w roku 1937 w Polsce dzieci. Np. rocznik 1902 dał *) 1.158.800 dzieci i może dla tego mieliśmy tak wiele osiemnastolatków w P. O. W., na wojnie bolszewickiej, w obronie Lwowa. Osiemnaście lat dużo znaczy dla wojny, więcej niż 60 lat. Już w Polsce niepodległej mieliśmy w r. 1925 — 1.036.600 urodzeń i po tym spadek do 958.700 w r. 1927, lecz dobra koniunktura do r. 1929 odbiła się na roku 1930 tylko cyfrą 1.022.800 urodzeń, a w r. 1933 spadliśmy aż do 868.700, z czego wynika wyraźnie spadek urodzeń. Dostyc powiedzieć, że w r. 1935 urodzenia wyniosły 876.600, czyli tylko o 15 tysięcy więcej, niż w r. 1920, w roku o liczbie ludności 26.664.200.

Za dwadzieścia lat, gdy oficer naszego sztabu głównego będzie opracowywał powołanie do służby wojskowej młodszego rocznika, w skutek braku kontyngentu rocznika 1937, stwierdzi z irytacją, iż w obecnej naszej atmosferze, w atmosferze dzisiejszej nie mógł wypaść rocznik ani liczny, ani silny. Dwudziestolatek populacyjny nie stworzy ani optymizmu jazdowy ani defetyzm obserwujących z boku.

Gdy się myśli państwowo, czyli całościami, wie się dobrze, że ludzie przy władzy odpowiadają nie tylko za równowagę budżetu państwowego na r. 1937/38, lecz również i za liczbę rekruta w r. 1958.

Zagadnienia populacyjne bowiem są tak długofalowymi zagadnieniami i tak ważnymi dla państwa, że nie sposób ich przesunąć z zakresu państwowych zagadnień gospodarczych do kategorii spraw społecznych.

Są to przecież sprawy przerastające indywidualny zakres zagadnień pojedynczego człowieka, a i grup społecznych.

*

Cisnienie populacyjne w Polsce charakteryzują dwie cyfry: 9 milionów ludności zbędnej na wsi i około 500.000 zarejestrowanych bezrobotnych w miastach (nie licząc rodzin).

Niezależnie od tego, że nad pierwszą cyfrą toczy się jeszcze ożywiona dyskusja, można śmiało rzec, że blisko $\frac{1}{3}$ ludności Polski od lat jest wyrzucona poza nawias pracy. Nie można bowiem wegetacji na wsi

i uprawiania przez 3 osoby tego, co może uprawiać jedna, uważać za pracę.

Na tle tego stanu, tej rzeczywistości różne są proponowane środki rozwiązujące zagadnienie.

Między innymi emigracja. Oto jej intensywność: w roku 1933 nadwyżka emigracji nad reemigracją wynosiła 16,691 ludzi, w roku 1934 — 8,531, w roku 1933 — 374, w roku 1936 — 10.920 ludzi.

Wyniki nikłe. A reforma rolna i urbanizacja? — Lepiej nie mówić. Inne posunięcia gospodarcze, zwiększające chłonność rynku pracy, są mizerne. W każdym razie nie są obliczone na $\frac{1}{3}$ część ludności.

Obojętna również w obliczu tych cyfr jest poprawa koniunktury. Nigdy nie rozstrzyga ona zagadnienia strukturalnego.

Kłeska populacyjna Polski jest podwójna. Jest zator populacyjny i groźba zahamowania przyrostu naturalnego. Poza dziesięcioma milionami ludności zbędnej na wsi, poza bezrobotnymi w miastach, stoi wobec „być albo nie być“ blisko trzymilionowa armia młodzieży teraz w wieku lat 14—19, która wkracza kolejnymi rocznikami w wiek produkcyjny, domagając się funkcji życiowej, pracy i chleba.

Z drugiej strony: ze względu np. na rok 1958 państwo nie może zabronić ludziom płodzić się, co więcej: nie może dopuścić do spadku urodzeń — i tu wytwarza się dysproporcja konieczności państwowych a dysponowanych dotychczas przez państwo środków.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że zagadnienia populacyjne wymagają dla właściwego ich postawienia odpowiednich warunków, odpowiedniego minimum dobrobytu, jako koniecznego warunku normalnego rozwoju populacyjnego.

Urodzenia na 1.000 mieszkańców, które utrzymywały się na ziemiach polskich w latach 1895—1907 na poziomie ponad 40, a do roku 1931 (pomijając lata wojny) nie spadły nigdy poniżej 30, wynoszą w r. 1935 — 26,1. Lecz to nie jest jeszcze wystarczająco jasny obraz naszych tendencji populacyjnych. Zagadnienie płodności, znamionujące w sposób bardziej głęboki dążności populacyjne, wskazuje na katastrofalne tendencje. Otóż okazuje się, że współczynnik urodzeń na 100 kobiet w wieku lat 19—49 kształtował się przy przyjęciu r. 1900 za 100 jak następuje:

R. 1927/28 — 65, r. 1932 — 60, r. 1934 — 56. Widzimy, jak bardzo spadła płodność w latach 1900—1934. O całe 44%, czyli w roku 1934 — 100 kobiet w wieku lat 19—49 wydało na świat o 44% dzieci mniej niż w r. 1900!

Gdy analizujemy te cyfry, przychodzimy do wniosku, że zagadnienia gospodarcze, leżące u podstaw spraw populacyjnych, winny być szybko i radykalnie rozwiązywane. Jednym słowem, chodzi o plan i realizację

zaję spraw doniosłej wagi państwowej, chodzi o stworzenie takich warunków gospodarczo-społecznych, które pozwalałyby na utrzymanie stopnia przyrostu naturalnego. Związane to jest z minimum ingerencji państwowej w sprawy dobrobytu. Kura w garnku i sytość po gardło — to mierniki nieokreślone; apetyty „dobrobytowe“ zawsze mają tendencję wzrastającą, lecz populacja — to sprawa minimum i sprawa czysto państwowa.

W zagadnieniach populacyjnych koniunktura wiąże się ściśle z strukturą. Gdy raz się nauczyło unikać potomstwa w ciągu lat kryzysowych, gdy zagnieździła się obyczajowość niskiego przyrostu, nie ulega ona naogół zmianom. Chyba jakiś rozkwit dobrobytu, lub fanatyzm typu imperialno-populacyjnego pozwoli na dźwignięcie przyrostu naturalnego z upadku. W każdym razie są to imprezy bardzo kosztowne i bardzo ryzykowne. Jesteśmy na to za biedni.

* * *

Ostatnio daje się odczuć bardzo ożywiony ruch w dziedzinie pomysłów rozwiązywania naszych trudności populacyjnych za pomocą środków zewnętrznych, przy równoczesnym unikaniu radykalnych rozwiązań tego zagadnienia na płaszczyźnie wewnętrznej.

Mianowicie rozwija się u nas kompleks emigracyjno-kołonialno-osadniczy, znajdujący się w dziedzinie teorii i nie ruszający z miejsca, a to nie z powodu małej aktywności polityków w tych sprawach, lecz z prostego powodu: kolonie nie wakuja, strzegą ich silne państwa, a co do osadnictwa i emigracji autarkia w dziedzinie ludnościowej, panująca w innych krajach i na innych kontynentach, nie otwiera nam bram na rozcież. Zresztą trudno rozwiązać zagadnienie 12 milionów ludności zbytecznej za pomocą samego tylko rozwiązania kwestii osadniczo-emigracyjnej i surowcowej.

Nie można bowiem twierdzić ani wobec siebie samych, ani wobec możnych właścicieli kolonii, iż użyliśmy wszystkich wewnętrznych środków dźwignięcia się gospodarczego, by na naszym własnym terytorium, przy naszych surowcach, dopełniających normalną wymianę towarową i surowcami, na które pozwala współczesna nauka, przy zastosowaniu nowoczesnych form organizacji gospodarczej, produkcji, wymiany, przewarstwień społecznych, podziału dochodu: — nie mogliśmy w lwiej części rozwiązać trudności populacyjnych.

Krótko mówiąc, winniśmy sami traktować nasze przeludnienie — jako względne, czyli, jako przeludnienie, które jest nim tylko przy dzisiejszej strukturze naszego gospodarstwa. W skali wysiłków rewolucyjnych i ewolucyjnego rozwoju gospodarczego wielu krajów świata przeludnienie nasze nie może uchodzić za bezwzględne.

Zresztą nie o udowadnianie i motywowanie chodzi, bo państwa kolonialne i państwa, mające tereny osadnicze, nie zwykły powodować się interesem biednych a nie groźnych kontrahentów politycznych. Powinien nas przecież nauczyć przykład Italii, że kolonie nie wakuja, a bierze się je zbrojną ręką. Niemcy przystąpiły do żądań kolonii po dokonaniu olbrzymiego wysiłku wewnętrznego i — jeżeli o dowody i motywacje chodzi — chyba wystarczająco umotywowowały konieczność i potrzebę kolonii. W dodatku towarzyszyło tym żądaniom ostre potrząsanie bronią. I nic z tego!

Rozumie się, że powinno państwo, dążące do wielkiego rozwoju mocarstwowego, myśleć o tych zagadnieniach, trawić je, układać plany i terminarze ich realizacji, lecz w Polsce widzimy spychanie wewnętrznych trudności gospodarczo-populacyjnych na teren zewnętrzny, który jest ślepą ulicą.

W poprzednim numerze

„ZACZYNU“

Radykalizm państwowy

Przyszłe wartości wychowawcze

O kategoriach myślenia politycznego

Kontrola państwowa

Droga Turcji

Musi się znaleźć czas...

Głosy i odgłosy

Palcem po mapie

*) Patrz „Zagadnienia demograficzne Polski“ G. U. S.

Inaczej mówiąc, wszystkie resorty gospodarcze chętnie by umyły ręce i obciążyły by misją i odpowiedzialnością za rozwiązanie spraw populacyjnych resort Spraw Zagranicznych.

Widzimy, że z olbrzymiej sprawy populacyjnej zrobiono, przez zepchnięcie jej na teren zewnętrzny, trzeciego diabła.

Jesteśmy krajem, w którym aż od rozbiórów szukano za każdym razem innego diabła, krzyżującego nasze szyki, jakieś jedynej wszechprzyczyny zła, aby uspokoić nieczyste sumienie i zepchnąć z siebie odpowiedzialność za losy państwa, narodu, ludności.

A więc szkoła historyczna warszawska zwała klęskę państwową Polski — rozbiory — na przemoc sąsiadów, podczas gdy nastąpiły one w skutek własnych a bezprzykładowych wad ustrojowych i własnej słabości.

To pierwszy diabeł, któremu kłam zadała dopiero epopeja Józefa Piłsudskiego.

Drugi diabeł — to sprawa żydowska, którą wysuwa się na pierwsze i przodujące miejsce zamiast umieścić ją na należnym.

Teraz tworzy się u nas trzeciego diabła. Diabłem tym jest mania spychania konieczności rozwiązań zagadnień populacyjno-gospodarczych na teren zagraniczny, od nas niezależny lub zależny w minimalnym stopniu.

Rozwiązywanie zagadnień kolonialnych, — nie zaślepiajmy się i nie usypiajmy się, — wyrasta nie z wielkiej prężności populacyjnej i nędzy, podsycanej propagandą, lecz z wielkiej prężności politycznej państwa, z jego wewnętrznej potęgi psychicznej i gospodarczej. Natomiast z prężności populacyjnej i nędzy galicyjskiej wyrastały nie kolonie, lecz wędrowniki na Sasy, typy z „Pana Balcera w Brazylii“, „Za oceanem“, z „Wierzb nad Sekwaną“ itp.

Nie znaczy to, byśmy mieli tutaj uprawiać propagandę antykolonialną; broń Boże! My tylko uczciwie uważamy, że diabeł, opętanie i usypianie kolonialne są szkodliwe, jeśli wytwarzają w społeczeństwie wiarę w jakieś hokus-pokus dyplomatyczne, a czynniki, które muszą być odpowiedzialne za sprawy gospodarcze a więc i populacyjne w państwie, zwalniają się od odpowiedzialności za nieczynienie szybkich, intensywnych i radykalnych zmian gospodarczych wewnętrznych w celu przystosowania gospodarki do wymogów populacyjnych.

Nasz analfabetyzm polityczny i brak wyrobienia politycznego miesza zagadnienia kolonialne z żydowskim sklepikiem kolonialnym. Warto było by, by nasi politycy gospodarczy, nawiedzeni kompleksem emigracyjno-kolonialno-osadniczym, trochę przestudiowali historię zdobywania, urządzania i waloryzowania kolonii.

Wtedy może by zrozumieli, że kolonie a żydowski sklepik kolonialny to sprawy bardzo różnego kalibru, że od sportu jakowego na Wiśle, Yacht Klubu, oraz innych form godziwych rozrywek i popularyzacji zagadnienia kolonialnego jest jeszcze dalej do jego rozwiązania, niż od hasła Magistratu warszawskiego „frontem do Wisły“ — do wysiłku wojny kolonialnej włosko-abisyńskiej.

Należy sporządzić dokładny bilans opłacalności i widoków powodzenia kolonialnego wysiłku i psychozy kolonialnej. Naturalnie będzie to bardzo odpowiedzialna praca i musi to być bardzo dokładny bilans, nie taki, jakie sporządzają niektórzy bogatsi płatnicy dla urzędów skarbowych lub niektóre przedsiębiorstwa, sprzedające się państwu „w etatyzm“.

Przy sporządzaniu tego bilansu trzeba mieć przed oczyma taki oto ustęp z bajki.

Jasio uciekł od głupich rodziców i szukał mądrych ludzi po świecie. Przychodzi do pewnej wsi, widzi gromadę chłopów przed stodołą, drabiny poustawiali, sznury pozawieszali, drągami krowę windują na dach stodoły. A biedna łaciata ledwo zipie. Pyta Jasio: „Co robicie, ludzie kochani, szkoda krowy“. A oni mu w odpowiedzi: „Widzisz, drogi człowieku, trawa na dachu wyrosła, szkoda, wyschnie, a tu krowina podje sobie“. I nuże dalej krowę windować do góry. „Ach, głupi ludzie, — powiedział Jasio, — przecież prościejby było trawę zerwać i krowie rzucić“. Po wielu wsiach wędrował Jasio, więc widział różne widy, jak konia drągami i orczykami w chomąto wpędzali, miast go przytrzymać i chomąto nałożyć itp.

Bajka bajką, ale przecież nie jest ona tak głupia i nie można powiedzieć, by nie była pożyteczna dla naszych polityków. Jest tak bardzo a propos naszych myśli o koloniach.

Kolonie to miliardy, grube miliardy!

Ustalmy sobie ot! przykładową hierarchię wysiłków: wewnętrzne reformy gospodarcze, wzrost potęgi wewnętrznej, sprawa żydowska, sprawy kolonialne, etc.

Bo naprawdę czasem odnosi się wrażenie, że cała sprawa nie jest kolonialną, lecz korzenną.

Usunęmy sami z Polski obce kolonie, obce agentury. Kolonizujmy wieś cywilizacją, kolonizujmy... mózgi swoje, myśleniem państwowym.

*

Zagadnienia populacyjne nie cierpią ani zwłoki, ani usypiania, ani zakłamywania się. Winny być rozwiązywane dziś, jutro, pojutrze i stale. Winniśmy zwekslować w porę na tory rozwiązań radykalnych, szybkich, gruntownych, przede wszystkim wewnętrznych, leżących w granicach naszej suwerenności. (77).

Z ZAKRESU METODOLOGII MYŚLENIA PAŃSTWOWEGO *)

PLANOWE I INDYWIDUALNE

Wiek „pary i elektryczności“, czyli maszyn i fabryk, ostatecznie i bezapelacyjnie wprowadził zbiorowość w dziedzinę pracy i usunął pracę jednostkową, indywidualną do zakamarka wielkich centrów wytwórczych, i to zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Nawet pod względem estetycznym, ściśle związanym z przeżyciami indywidualnymi, wyroby masowej produkcji, stoją dziś często wyżej od indywidualnych.

Czasy bezimiennego artysty — rzemieślnika skończyły się bezpowrotnie, choć wiele czyni się obecnie wysiłków w celu odrodzenia rękodzielnictwa.

Dziś praca stoi pod znakiem nie tylko zbiorowości, lecz niestety często i bezmyślności, wywołanej biernym stosunkiem człowieka do wytworów maszynowych.

Podniesienie poziomu kulturalnego ogółu może się odbywać tylko przez przezwyciężenie bierności i bezmyślności w przebiegu pracy. Może to być dokonane nie na tłach powrotu do przeżytych okresów, lecz przez współtwórczość w planowaniu i przez solidaryzowanie się ludzi pracy z samym przebiegiem realizacji zagadnień.

Musimy tedy zastanowić się metodologicznie nad zagadnieniami planowości i roli indywidualnych poczyną w pracy zespołowej.

Ruch umysłowy socjalistyczny tak był zajęty zwalczaniem dawnych układów myślowych (a przede wszystkim t. zw. drobno-mieszczańskich), a później walką z narastającymi sferami kapitalistycznymi, że bardzo mało uwagi poświęcał roli planistyki w organizowaniu przemysłu i innych działów życia zbiorowego.

To też dla wielu myślicieli i działaczy t.

zw. społecznych problematyka zagadnień w dziedzinie pracy sprowadza się prawie wyłącznie do sprawy udziału w dochodzie społecznym i do zagadnień rzędu etycznego, czyli t. zw. sprawiedliwości społecznej i indywidualnej.

Panuje wśród nich niepodzielnie fetysz „dobrobytu“, który ma stanowić o jakiejś wizji kulturalnej, bliżej prawie nigdy nie określonej.

Problematyka kultury czy cywilizacji jest niezależna od procesu realizacji zagadnień. Realizacja natomiast zagadnień jest związana z zagadnieniami „dobrobytu“, gdyż dobrobyt oznacza właśnie możliwość zaspokojenia potrzeb ludzkich, wynikłych z wizji kulturalnej życia zbiorowego i indywidualnego.

Wielokrotnie już wypowiadaliśmy zdanie, że tylko na tłach wizji możliwy jest celowy, kierunkowy pęd ku realizacji, którym jest planowe działanie i ściśle realizowanie zamierzeń i w związku z tym zadośćuczynienie określonym potrzebom kulturalnym.

Metodologiczne rozpatrywanie planu działania i udziału w nim jednostek ludzkich możliwe jest tylko na tle wizji życia zbiorowego i roli w nim indywidualów ludzkich.

Jaką wizję życia zbiorowego żyją dziś państwowcy, dążący do podporządkowania aktywności ludzkiej planom państwowym? Niestety żyjemy na początku nowego okresu, czy ery kulturalno-cywilizacyjnej, której rozpęd odczuwamy, lecz ogarnąć świadomie jeszcze nie potrafimy.

Nie mamy do dziś żadnej teorii przewodniej, choćby tak nieścisłej jak wizja literacka.

Próby Wells'a lub Huxley'a przenoszą nas raczej w zgola inny świat, niż wskazują drogi kierunkowe „geniusza“ naszych czasów.

Wszelkie światopoglądy gospodarczo-socjalne mówią o złych stronach dzisiejszego życia, o przezwyciężeniu tych czy innych zaległości z dnia wczorajszego, rzucają hasła, wzywają do naprawy, lub rozprawy, lecz o jutrze mówią tylko ogólnikowo, mgliście, bez wartości konstrukcyjnej.

Z drugiej strony wyrastają z dnia na dzień potężne plany realizacyjne, pięciolatki, czterolatki, trzylatki. Nie na papierze, czy w wyobraźni fantastów, poetów, lub innego typu wizjonerów, lecz w postaci fabryk, autostrad, kanałów, nowych miast... Te nowe plany realizują jakieś nowe światy kulturalno-cywilizacyjne, i zmuszają do wytwarzania nowych wartości psychicznych, etycznych i estetycznych.

Pierwszą podstawową zmianę już zaznaczyliśmy, omawiając zastąpienie pracy indywidualnej pracą zbiorową (p. „Zaczyn“, Nr. 4—5 z 1936).

Tutaj chcielibyśmy poruszyć nie zestawienie czy przeciwstawienie pracy indywidualnej — pracy zespołowej, lecz rolę jednostki pracującej w zespołach, zapoczątkowanych w ostatnich paru latach przez wiele państw.

Wizję przyszłości zastąpić będziemy musieli kierunkowością, która staje się coraz widoczniejsza w działalności państw dynamicznych, oraz „fantazją“ ludzi myślących i czujących, którzy próbują przewidzieć optymistyczne wyjście z wielkiej niedoli i niebezpieczeństw, jakimi znaczone są dzisiejsze ciężkie, przejściowe czasy.

Fantazja ta prowadzi nas do ustrojów,

*) patrz Nr. 22 „Zaczynu“.

gdzie nie będzie tego strasznego upiora, jakim jest dziś bezrobocie.

Niemożliwym jest przezwyciężenie bezrobocia na tłach pracy indywidualnej, która żądała od pojedynczego człowieka decyzji co do wyboru zawodu, znalezienia samemu pracy i produkowania według własnego uznania tych czy innych dóbr konsumpcyjnych.

Nie będziemy udawadniali tej tezy, gdyż już nie tylko państwa dynamiczne, lecz wszystkie dziś państwa zmuszone zostały do przejścia troski nad dostarczeniem pracy rzeszom bezrobotnym, zamiast jak dawniej spychania tej sprawy na barki jednostek.

Tych spraw już dziś nikt nie załatwia poradami czy odsyłaniem do lepszych czasów.

Sprawa bezrobocia stała się największą pobudką do tworzenia planów gospodarczych w skali państwowej. Plany te przerzucają całą odpowiedzialność na kierownictwo państwowe, i żadne inwokacje do ogółu, żadne modły o współpracę społeczeństwa, nie mogą już dziś zmniejszyć tej całkowitej odpowiedzialności czynników rządzących za stan sprawy bezrobocia i za brak planu gospodarczego w skali państwowej.

W ten sposób państwo staje się jakimś olbrzymim zespołem pracy, gdzie jednostka musi otrzymać ściśle wyznaczone mu miejsce i charakter pracy.

Odpada tedy decyzja jednostki co do wyboru zawodu, gdyż w planie państwowym już z góry przewidziany jest stosunek liczbowy rozmaitych fachowców, a tym samym ich wychowanie i przysposobienie gospodarcze.

Wybór zawodu przerzucony zostaje z wolnego, czy przymusowego wyboru jednostki na kierownictwo, które musi segregować kandydatów według uzdolnień do spełniania funkcji, przewidzianych w planie gospodarczym, jak również regulować stosunek liczbowy kandydatów do poszczególnych działów.

Indywidualne tedy w przewidywanych układach pracy zespołowej sprowadza się do umiejętnego realizowania we wskazanym czasie i miejscu wskazanych odcinków ogólnego planu.

Idealem będzie tedy nie samodzielna praca indywidualna, ale świadome wypełnienie takiej części przy zbiorowej, czy takiej funkcji w ogólnym planie, która odpowiada największej skłonności i uzdolnieniom danej jednostki.

Zadowolenie jednostki wypływać będzie nie z wykonania samodzielnego rzeczy przeznaczonej do konsumpcji, jak przy pracy indywidualnej, lecz z wartości wysiłku własnego, w zbiorowym osiągnięciu zamierzeń na szerszym lub węższym wycinku planu państwowego.

Zmieni się wtedy stosunek oceny wysiłku, a tym samym zmieni się poczucie sprawiedliwego podziału dóbr konsumpcyjnych wśród uczestników tego zbiorowego dokonania.

Jednocześnie odpadnie to przekleństwo człowieka niepotrzebnego, jakie odczuwa dziś każdy bezrobotny.

Za bezrobocie będą odpowiadać kierownicy; bezrobotny nie przestanie być konsumentem i nie będzie zepchnięty do rzędu niepotrzebnych istot.

Dążenie do coraz wyższych funkcji czy do kierownictwa na poszczególnych odcinkach pracy zbiorowej będzie z pewnością nie mniejszym bodźcem indywidualnym, niż powodzenie i zysk w układzie pracy indywidualnej.

Odpadnie zaś to ponizające i deprymujące uczucie, które wywołuje dziś w pracujących indywidualnie brak powodzenia, jakże często zdarzający się nie z winy własnej, ale przez zły zbieg okoliczności czy też brak t. zw. szczęścia.

Ryzyko osobiste w pracy zbiorowej jest nieskończenie mniejsze niż przy pracy indywidualnej.

A że nie będzie tych szczęśliwych, którzy wygrywają dobry los jak na loterii, nie pomniejszy to w niczym uczucia wielkiej satysfakcji, jaką daje udział w wielkim, pełnym sensu i wartości dziele. (11)

O KATEGORIACH MYŚLENIA POLITYCZNEGO*)

III.

Ustaliwszy konstrukcyjny rezultat, jako jedyny cel wszelkiej ideowej działalności politycznej, oraz przedstawiając małowaristość t. zw. dobrej, patriotycznej woli, jak też nieuchronną rozbieżność ludzkich sposobów rozumowania w sprawach politycznych, — możemy w zamknięciu sięgnąć ku podstawie ujemnych rezultatów w polityce, t. j. ku przesłankom, czyli argumentom rozumowania politycznego. Z powyższym bowiem słowem: przesłanki, dane, podstawy, czy argumenty myślenia politycznego, wchodzimy automatycznie na teren zagadnienia „fikcja a rzeczywistość” w myśleniu politycznym zarówno ogółu, jak jednostek politycznych.

Zaznaczyliśmy wyżej, że rzeczywistość jest elementem najtrudniej dostępnym dla czynnego polityka, gdyż jest najniewdzięczniejszym środkiem w oddziaływaniu politycznym czy agitacji. Szeroka ludzka masa kocha fikcję i domaga się fikcji, nawet za cenę oszukiwania ich myślenia, skoro już Rzymianie wiedzieli, że „vulgus vult decipi, ergo decipiatur”. Jeśli jednak tę szeroką masę bezkrytycznych odbiorców narzucanych sobie haseł, wyłączymy nawet z rozważań, jako nieuchronne zło, wynikające z tendencji ludzkiego myślenia, to nie mniej pozostanie w życiu politycznym atrakcyjność fikcji i wszelkich łatwych uogólnień nawet dla umysłów kierowniczych i prowadzących te masy, a to ze względu na popularność i chwytność agitacyjną wszystkich fikcyjnych uproszczeń i uogólnień. Wszelka bowiem, naiwna nawet fikcja ma w życiu politycznym sytuację nieporównanie łatwiejszą, niż jakakolwiek najbardziej oczywista i bezsporna prawda, względnie najbardziej ustalona rzeczywistość.

Błędnym, domorośłym polskim „biadoleniem” byłoby twierdzenie, że tendencja do fikcji jest jakąś specyficzną cechą polskiej myśli politycznej. Była nią niewątpliwie w przeszłości w stopniu nieporównanie silniejszym, niż u innych, a odyskuje dzisiaj na nowo pole w umysłach polskich w miarę zanikania skutków tej

— nieraz niemal brutalnej — kuracji intelektualnej, jaką przynosiły ze sobą słowa Marszałka Piłsudskiego, jako szczytowej postaci w tej walce o drowie polskiego myślenia, która zaczęła się od Modrzewskiego, a przebiega się tak często we władczych myślach Słowackiego. Nasi obywateli przepotężni sąsiedzi dominowali długie wieki nad nami rachunkiem trzeźwej rzeczywistości, oczywiście u swych kierowniczych postaci. Dziś jednak w tej najnowszej fazie państwowo-narodowej konkurencji z nami, fabrykują z rozmaitem raz fikcję nacjonalistycznego rasizmu, a raz raju komunistycznego, dzięki którym — na szczęście — osłabiają wobec nas czasowo swe przepotężne możliwości. Niewątpliwie bowiem obecnie obydwa nasi sąsiedzi, w przeciwstawieniu do swych dawnych pruskich i carskich zwyczajów trzeźwej do granic cynizmu kalkulacji, zajęci są obecnie gwałtownym narzucaniem — zapomocą szkoły i organizacji — swym liczbowo lub gatunkowo tak groźnym masom swoistych sztucznych fikcji.

Gorszym jest jednak, gdy chociażby przejściowo czy na pewnym terenie sprawy te przepotężne totalistyczne organizacje państwowe przechodzą od agitacyjnych fikcji na teren politycznej rzeczywistości, gdyż wtenczas z miejsca wykazują w swym bilansie groźne dla nas rezultaty i niezaprzeczalne sukcesy. Wszak będzie to ów wypadek, gdy hitlerowskie Niemcy skalutowanym uderzeniem pięści rozbijają w Europie fikcję pisanego słowa, za którym nie stoi zdolna do natychmiastowego działania siła. Podobnie groźnym dla innych jest, gdy ideowy komunizm odchodzi od fikcji masowej „rewolucyjnej milicji”, by w jej miejsce organizować olbrzymią i w najnowsze środki techniczne wyposażoną regularną, zdyscyplinowaną, a stałą armię. Fikcje bowiem naszych przeciwników są tylko wtenczas dla Polski niebezpieczne, gdy je ze swych terenów, jako komunizm i hitlerizm, przerzucają do polskiego myślenia, a nie gdy je u siebie kultywują. Jeśli dzisiaj z pomiędzy trzech wielkich potęg totalistycznych niezaprzeczenie największy skok w górę w stosunku do tego, czym były dotychczas w Europie, wykazują właśnie Włochy, a nie np. Niemcy,

których zawsze cały świat się obawiał, lub Rosja, która przez pół wieku ciążyła nad całą Europą swoim kolosem fikcyjnej potęgi, to dlatego, że faszyzm przy rozwinięciu nieprawdopodobnych zdolności propagandowo-wychowawczych, nie obciążał swych działań taką kolekcją fikcji, jak te dwa inne państwa, mające z natury rzeczy nieporównanie większe możliwości.

Uwagi te są tylko próbą dygresji na temat fikcji występujących u obcych, fikcji, które nikogo w Europie nie oszczędzają, skorośmy niedawno byli świadkami kompromitacji politycznej nawet Anglii, gdy pod naciskiem opinii jej polityka, czy politycy uwierzyli na chwilę, że wystarczy na szalę polityczną w miejsce kalkulacji aeroplanów, łodzi podwodnych i t. d. rzucić fikcję prestiżu politycznego Anglii i Ligi Narodów. Ważniejszym jest bowiem dla naszych rozważań zagadnienie tego nieprzebranego wprost zakresu fikcji, które obciążały i obciążają polskie myślenie polityczne, przy czym nie ograniczamy się na tym polu do naszych własnych samorodnych przeżytków, ale jeszcze masowo importujemy do naszych mózgów inspiracje obcych ideowych agentur. Niesposób oczywiście — chociażby tylko szkieletowo — wyliczyć i omówić ten cały kompleks fikcji, które rządziły i rządzą myśleniem polskiego ogółu, czy większości, musiałyby bowiem być to niemalże dzieje polskiej myśli politycznej. Trzeba by zaś przy tym — chcąc uniknąć hyperkrytyki — wysłuskiwać raz za razem wśród morza poglądów i pomysłów fikcyjnych, zdrowe ziarna rzeczywistości, rozprószone wśród plew frazeologii. Można więc te fikcje tylko najwyżej przykładowo na tym miejscu poruszyć, zostawiając czytelnikowi rozwinięcie własnych rozważań w tym duchu po przez rozłogi zagadnień dawnej i obecnej Polski.

Już zaraz u wstępu nowoczesnego państwa polsko-litewskiego z końca wieku XIV mamy fikcję „inkorporacji” państwa litewskiego, ukochaną myśl polityki magnacko-szlacheckiej, w której rezultacie nie mogą się u nas ustalić Jagiellonowie, jako bezpośrednio dziedziczni władcy. W rezultacie musi ostatni z Jagiellonów dla uratowania jednoci osieroconego państwa po-

*) patrz Nr. 23 i 24 „Zaczynu”.

święcić ideę dziedziczności tronu na rzecz zabójczej zasady elekcyjności, fakt, który wyznacza tendencję ku upadkowi dla elekcyjnej Polski wobec konkurencji z dziedzicznymi monarchiami. Okres elekcyjny stał się jakby jednym idealnym podłożem dla hodowli coraz to nowych, coraz groźniejszych fikcji, które zwolna w całości opanowują myślenie ówczesnego narodu szlacheckiego. Hołdujemy fikcji pacyfizmu i nieagresywności w nadziei unikania wojny, by w rezultacie mieć wojny raz za razem na przestrzeni całego XVII wieku. Hołdujemy fikcji, że właśnie bezbronność i brak stałej armii będzie dowodem pokójowości, a tym samym najlepszą ostoją państwowego. Hołdujemy szczerze fikcji, że nienaruszalność granic Polski i bytu państwowego „na nierządzie stoi”, a wszelką zdrową myśl, powołującą się na rzeczywisty układ rzeczy w ówczesnej Europie, tępiemy i nie dopuszczamy do głosu. Troskę o państwo pozostawiamy fikcyjnej pretensji do każdorazowego elekta, by sam za państwo wszystko zrobił, wszystkie wojny wygrał i wszystkie wojska wystawił, a nawet odebrał prowincje, o których przynależności już niemal zapomniano („avulsa”). Latami można się rozczytywać w tym całym bezbrzeżnym chaosie fikcji, uznawanych przez 9/10 ogółu, gdyż dopiero potem historia literatury i polityki wydobywała z zapomnienia te zdrowe głosy, kierowane wycuciem rzeczywistości, które nie zdołały nigdy jednak przemówić do współczesnych z rzeczywistą siłą.

Rzeczywistość przemówiła dopiero decydująco faktem drugiego rozbioru. Dopiero bowiem rok 1793 jednym uderzeniem maczugi rozbił tę przewagę i rządy ukończonych fikcji w mózgach większości ówczesnego ogółu polskiego. Zaczyna wreszcie wraz z czynem Henryka Dąbrowskiego dominować rzeczywistość w umysłach polskich, rzeczywistość drobniutka, skromna, obracająca się w kilku tysiącach ludzi, ale oparta o istotne zrozumienie własnego trudu i własnej siły zbrojnej. Krótka jednak i przebrzmiała epoka napoleońska zostawia nam niestety, poza zrozumieniem dla trzeźwej rzeczywistości czynu zbrojnego, także nową fikcję polityczną, która się wlec będzie przez nasze porożbiorowe dzieje w formie bezustannych nadziei, że zachód Europy motu proprio, własnym gestem i słowem przyniesie nam *niepodległą Polskę w darze*. Tradycja jednak legionowo-powstańcza nie znika z polskiego myślenia politycznego, by dopiero z końcem roku 1918 znaleźć pełną możliwość do formowania własnej polskiej rzeczywistości, zresztą na ogół przeciw fikcyjnym nadziejom na Zachód, który chciał tylko małej Polski kosztem Niemiec i Austrii, a nigdy wielkiej Polski, możliwej tylko kosztem Rosji.

Trudno jest już dzisiaj a z obiektywnym spojrzeniem z perspektywy historycznej, wydobyć i przedstawić przekonywująco chociażby te najbardziej jaskrawe i widoczne fikcje, które poczęły dominować w myśleniu politycznym Odrodzonej Polski. Na czoło wysunęły się w każdym razie dwie, a dziś już niezaprzeczalne fikcje polskiego, powojennego myślenia. Pierwszą tą fikcją było przekonanie, że wystarczy dla konstruktynego rezultatu w przyszłości, by dana idea lub czynność cieszyła się formalną aprobatą ciał ustawodawczych i poklaskiem ogółu, fikcja, której zawdzięczamy *Konstytucję Marcową* i cały okres *sejmów władczy*. Wyleczył nas z tego przewrót majowy, bo z drugiej powojennej fikcji, już o charakterze ekonomicznym, wyleczył nas dopiero kryzys światowy. Weszliśmy bowiem w życie gospodarcze Odrodzonej Polski z fikcją, celowo i świadomie kultywowaną w czasach przedwojennych, że jesteśmy ziemią mlekiem i miodem płynącą, o nieprzebranych skarbach naturalnych, wobec

czego wolno nam po powołaniu państwa prowadzić pracę niemal bez rachunku.

Wyleczyliśmy się natomiast niewątpliwie dzięki Marszałkowi Piłsudskiemu z tych śmiercionośnych fikcji dawnej Polski na terenie zagadnień wojskowych i na tym odcinku nawet przodujemy wielu innym pracą i rezultatami, opartymi o trzeźwą ocenę rzeczywistości na tle obcych możliwości, a naszych konieczności. Wieleż jednak innych fikcji pozostało nam, chociażby na terenie oświatowym, gdzieśmy nie osiągnęli rezultatów proporcjonalnych do wydatków i zamierzeń, lub na terenie ubezpieczeń społecznych, któreśmy formowali pod kątem widzenia, jak być powinno, a nie jak być może. Wraz z zagadnieniem oświaty i ubezpieczeń, a więc przewidywań społecznych, wchodzimy na teren zagadnienia wsi, na którym to terenie wskutek szczególnej struktury społeczeństwa polskiego już *przeszło półtora wieku walczy propagandowa fikcja z obrazem rzeczywistości*. Wmawialiśmy w siebie istnienie w Polsce patriotycznej chłopomanii, *realnie raz za razem opóźniając wydobyć się chłopów z okowów pańszczyzny i ciemnoty*, zwodziliśmy siebie fikcją cudu „o szlachcie z ludem”, by przeżyć rok 1846 i rozczarowania 1863. Górne słowo fikcji teoretycznej o „miłości dla ludu polskiego”, fikcji niepopieranej czynami ekonomicznymi, przesłaniało nam raz za razem spóźniające się tempo unifikacji społecznej całego narodu, a co najważniejsze — równoległej poprawy ekonomicznej masy, a nie jednostek, czy grup.

Największą jednak ilością fikcji przysłonił nam przed sobą prawdę i oczywiste nakazy wypływające z *rzeczywistej naszej pozycji, jako narodu polskiego wewnątrz państwa*, gdyż inicjatywa Marszałka Piłsudskiego wyswobodziła nas już psychicznie od tych fikcyjnych obowiązków zależności wobec zagranicy, ku którym tak chętnie chyliła się polska myśl polityczna. Obcą więc jest myśleniu polskiemu świadomość, że *zagadnienie mniejszościowe jest koniecznością nie do uniknięcia naszej wielkości państwowej*. Dziś jeszcze szerokie koła polskie wyobrażają sobie, że dawna Polska była jakimś państwem narodowo jednolitym i zwartym, a dopiero nowsze czasy narzuciły nam obciążenie mniejszościowe. W rzeczywistości jest wręcz odwrotnie, gdyż jesteśmy w nieporównanie lepszej sytuacji, niż w przeszłości. Podobnie teroryzuje się myśl polską zmyśloną fikcją i zmyślonymi argumentami o rzekomym zalewie polskości przez nasze mniejszości, o wzroście statystycznym i zalewie kulturalnym Żydów, o niebezpiecznym wypieraniu nas przez Ukraińców, o realnych skutkach metod pruskich, które okazały się tylko zdemaskowaną fikcją niemiecką, za którą zresztą Niemcy zapłacić musiały. W tej pracy rzu-

ca się ogółowi przed oczy fikcyjne argumenty, stawia fikcyjne nakazy i zadania, a wręcz już z natury rzeczy, z natury ducha ludzkiego i umysłowości polskiej wynika, że im bardziej fikcyjny argument, im bardziej fikcyjne wskazanie, tym bardziej łatwa popłatność i poklask ogólny. Fikcja za fikcją goni i fikcją pogania, a realne wskazania na podstawie realnych kalkulacji giną bez echa po pracach poszczególnych zorientowanych ludzi. Przepadają te dane i argumenty prawdziwe bez śladu wpływu po rozmaitych rozprawach, miesięcznikach, tygodnikach, gdyż myśleniem polskiego ogółu, nawet o wyższym poziomie intelektualnym *władza dzisiaj z przerażającą przebiegłością najgłupsza i deprawująca łatwiej zna groszową popularnej prasy, często, gęsto najtańsze, bezceremonialne kłamstwo, upstrzone w zakłamanie tytuły i zakłamaną treść*.

Niebezpieczeństwo bowiem nie tkwi w tym, że zakłamaną fikcją, zmyślony argument dociera do masy, ale przede wszystkim w tym, że w dzisiejszej epoce radia i kin, w temperaturze XX wieku szybkiego przyswajania sobie wiadomości, *ta tandeta myślowa brukowej i sensacyjnej prasy opamnowuje umysły jednostek kierowniczych*. Zmuszone są one bowiem przez istotę życia politycznego, by zapoznawać się z tą tandetą agitacyjną, chociaż niewątpliwie zyskałyby intelektualnie więcej na pomijaniu takich inspiracji, niż na mimowolnym wręcz wchłanianiu tego agitacyjno-popłatnego zakłamania. Jeśli się czyta większość tego materiału, którym zasypany jest codziennie polski ogół intelektualny, to raz za razem nasuwa się obserwacja, że jeśliby dane argumenty danego poglądu były prawdziwe, to wniosek nawet byłby logicznie wyprowadzony. Tymczasem błąd tkwi w fałszywych podstawach, w fikcyjnych przesłankach, z których już bardzo łatwo przy tej powszechnej, a przez to tak mało wartościowej, t. zw. najlepszej intencji, wyprowadzić szkodliwe dla państwa i narodu wnioski.

Przeżywa cała Europa, może jedynie z wyjątkiem Włoch, które, w stosunku do względnie niskiego stanu XIX wieku, w XX zyskały pod tym względem na terenie i znaczeniu światowym — swój *okres intelektualnego cofania się, ogólnej regresji*, która jest niewątpliwą i widoczną dla Rosji i Niemiec, jako obniżenie poziomu intelektualnego, a charakterystyczną dla Francji, jako wyczerpanie przodującej światu twórczości. *Przeżywamy tę regresję intelektualną również w Polsce XX wieku*, mimo nieporównanie lepszej sytuacji niż w wieku XIX, mimo nieporównanie wręcz wyższego od przedwojennego bogactwa wszelkich środków, organizacji, narzędzi pracy, możliwości i t. d. Raz za razem legitymujemy się przed sobą i obcymi kulturalnym i naukowym dorobkiem przedwojennym, bezsilnie wsłuchując się w te z wszech stron padające, a miarodajne głosy, stwierdzające po każdym sumarycznym obrachunku, że idziemy wstecz jako starzy i młodzi. Przy słowie bowiem „młodzi”, „nowy duch czasu” itd. — ponownie z zamięłowaniem pocieszamy się jeszcze jedną, *najmodniejszą fikcją, która przejawy regeneracji wielu starych grzechów narodowych wita jako zjawienie się nowych idei, nowych metod i nowego ducha czasu!*

Pozostał światu po Goethem spór naukowy, co oznaczały ostatnie jego słowa „więcej światła”. Bez względu na interpretację pozostało wielkie hasło, hasło niepopularne, a tak aktualne dla tej obecnej epoki powojennej Europy, jako wezwanie do „więcej światła”. Nie jest to już dzisiaj hasło Słowackiego „o kagańcu oświaty” dla ludu, bo obok obowiązku — automatycznie wykonywanego w miarę możliwości finansowych — oświecania szerokich mas, zrodził się w wieku XX obowiązek walki o *postulat większego światła w górnych strefach intelektu narodowego*. Nigdy bowiem nie wol-

Od Administracji

Nowi Prenumeratorzy „Zaczynu”, którzy wpłacą w miesiącu czerwcu prenumeratę półroczną w kwocie 5 zł., otrzymają jako bezpłatną premię broszurę **Tadeusza Unkiewicza „Uwagi o propagandzie”**.

Bruszura ta jest odbitką wydrukowanego w „Zaczynie” cyklu artykułów p. t. **„Kto i jak rządzi myśłami milionów?”**.

Osobom nie prenumerującym „Zaczynu” wysyłamy broszurę po wpłaceniu na nasze konto czekowe w P. K. O. Nr. 25.544 kwoty 1 zł.

no nam pocieszać się tym, że u innych jest również źle, a może nawet gorzej, gdyż przepotężne możliwości naszych sąsiadów zawsze pozwolą im masą ludności i bogactwem warunków pokrywać ten nasz polski niedobór, które my musimy wyrównywać świadomą wolą i świadomą pracą.

Łatwizna, popularna fikcja, zakłamanym argumentem opanowuje umysły polskich kół intelektualnych z tak przerażającym sukcesem i powszechnością, że ponad wszystko wysuwa się hasło i żądanie: „więcej światła dla wyższych sfer polskiego intelektu”. Nie przyniesie nam tego światła prawdy i rzeczywistości w życiu politycznym żadna taka lub inna organizacja, żadne takie lub inne uniwersytety lub szkoły, lecz przede wszystkim świadoma i odważna wo-

la wybitnych jednostek tępienia wszelkich fikcji, wszelkich zakłamań, wszelkiego obskurantyzmu, wszelkiej łatwizny, chociażby najbardziej agitacyjnie popłatnej i oklaskiwanej. Jeśli się w Polsce mówi tak wiele i tak chętnie o obowiązkach społecznych narodu, to właśnie walka z popularną fikcją jest najpilniejszym społecznym obowiązkiem polskich intelektualistów, obowiązkiem, w którym indywidualnej pracy, indywidualnej odwagi nie zastąpią żadne organizacje i żadne uniwersytety. Ponownie bowiem ten wiek XVIII jest dla nas dowodem, że w razie choroby intelektualnej całego społeczeństwa, — uniwersytety, jak ongiś, Akademia Krakowska i Wileńska, mogą się stać źródłami i ogniskami, promieniującymi nie światłem i postępem umy-

słowym, ale ciemnotą i obskurantyzmem. Podobnie zresztą przełom intelektualny Europy na Zachodzie z końcem tego wieku odbył się poza i bez uniwersytetów.

Więcej światła dla górnych czy intelektualnie przodujących rejonów polskiego społeczeństwa, to właściwa droga do wytworzenia takiego myślenia politycznego, które potomnym pozostawi konstrukcyjny rezultat. Ponieważ zaś czynem jest tylko walka, więc hasłem doby dzisiejszej w Polsce, jeśli mamy iść ku górze, winna się stać walka — jeszcze niemal — że nie rozpoczęta — z tym najazdem fikcji, ciemnoty i zakłamania, który oparty o wszystkie środki łatwizny agitacyjnej XX wieku, codziennie, czy niemal w każdej godzinie, wypacza i pcha ku dołowi polską myśl polityczną. (113)

CO TO JEST DEMOKRACJA?

Demokracja! Wielkie słowo. Jest w nim coś z ideału, do którego dąży się i który za wzór się stawia.

Z okazji prac O. Z. N.-u, modne stały się polemiki o demokracji i nie o niej tylko samej ale z różnymi przymiotnikami, jak „zorganizowana”, „nowa” itp.

Na pytanie, umieszczone w tytule, nie jedną książkę pękata napisano. Obawiam się, czy starczyło by życia, gdybyśmy zechcieli „porządnie” zaznajomić się z tym, co i jak ludzie odpowiadali na to pytanie. Nikt kto poważny nie szuka odpowiedzi na postawione pytanie w artykułach dziennikarskich.

Tutaj spróbujemy przedstawić fikcję, jakimi żyją, karmią się i entuzjasmują ludzie.

Zgodzimy się zapewne wszyscy, jeśli za punkt wyjścia weźmiemy takie sformułowanie: najogólniej biorąc, demokracja oznacza udział wszystkich obywateli w rządach. Nie będzie chyba sprzeczniwu, tym bardziej jeśli nie będziemy się upierać przy interpretacji dokładnej, co by napewno było nie na rękę i zwolennikom i przeciwnikom powyższego ujęcia rzeczy.

A więc udział w rządach. Ale w jaki sposób, jaka jest forma tego udziału? Otóż właśnie w pojęciu demokracji musimy odróżnić treść od formy. Najpierw o tej drugiej. Więc najlepsza forma demokracji, w której wszyscy bezpośrednio biorą udział w rządzeniu, jest niemożliwa. Trzydzieści pięć milionów ludzi nie zbierze się w jednym podwórku na naradę. To jasne. Najpiękniejsza forma (demokracja bezpośrednia) jest nierealna. W mniejszych krajach — owszem: Szwajcaria na przykład zbliża się do ideału. Starożytne, greckie państwa miasta były w szczęśliwej sytuacji. Ale nie śpieszmy się z entuzjazmem. Gdybyśmy chcieli dziś wprowadzić do Polski grecką demokrację wraz... z niewolnictwem greckim, niedługo cieszylibyśmy się tym światem. A to było razem: demokracja i niewolnictwo!

Odległe czasy? Prawda! Poszukajmy bliżej, wzorujmy się na Francji. Proponujemy p. K. Czapinowskiemu, naszemu Towarzyszu wi Pozytywce, skopiowanie Francji, tylko radzimy ostrożnie, bo okaże się wsteczniakiem: połowie ludności Polski zaknebluje usta, odbierze elementarne prawa już walczono. Myślę o kobietach. We Francji bowiem kobiety nie mają praw wyborczych. Niestety, znów trudność: Francja jest niewątpliwie — i to podkreślam — demokratyczna, a jednak kobiety głosu nie mają. U niektórych „faszystów” pod tym względem jest znacznie lepiej (choć znowu brak im demokracji).

Może wprowadzimy wzór angielski? Wątpię, czy zgodziliby się na to nasi obrońcy specjalnie rozumianej demokracji.

Nie mówię już o tym, że trzeba by szukać króla, ale przecież i w Warszawie nie można

by swobodnie robić wyborów, bo na stolcach radzieckich zasiadałyby dziedzicznie uprzywilejowane rodziny, a pan Barlicki ewentualnie zostałby mianowany, za zasługi, hrabią i dostał pokaźne włości do eksploatacji na własny rachunek.

Ale nie bawmy się w ciuciubabkę: nie chodzi o formę, chodzi o treść. Tu i ówdzie kobiety głosu nie mają, królowie i lordowie rządzą, ale jednak demokracja jest. Słusznie. Nie ma rządów bezpośrednich lecz tylko pośrednie czyli t. zw. demokracja parlamentarna z wyborami i wyborcami (w Anglii czterostopniowymi wyborcami), — jednak urząd jest demokratyczny. Słusznie.

Sądzę również, że nikt z ewentualnych obrońców demokracji, sobie tylko zastrzegających prawo interpretacji tego słowa, nie będzie próbował uzasadniać potrzeby wprowadzenia demokracji parlamentarnej do Tybetu, bo wybory wśród dzikusów — to obraza zdrowego rozsądku. Z tych też powodów nie zechce demokracji wprowadzać wśród Polinezyjczyków i... pomylił by się. Tam demokracja istnieje. Inna ale wspaniała, dla stosunków europejskich nawet wzruszająca.

Podobno w Rosji miała być demokracja. Po to przelano morze krwi. Narazie dyktatura przemieniła się w terror, ale oficjalnie wprowadzona została najdemokratyczniejsza konstytucja na świecie. Jednocześnie ujawniła swe przerażające oblicze rosyjska zdolność poniewierania godnością ludzką.

Mimo marksowskich stosunków produkcji, mających według teorii wpływać na świadomość tamtejszych autochtonów, po staremu pastwienie się nad godnością ludzką jest ich cechą narodową.

Zdaje się, że niedługo zrozumiemy się. O tym, czy jest demokracja, czy jej nie ma, nie decydują formy, ten błękit zewnętrzny, lecz postawa demokratyczna zbiorowości.

Anglia z królem i Francja z upośledzonymi kobiet są jednak demokracjami. Afganistan zaś nawet z pięcioprzymiotnikowym głosowaniem będzie jeszcze długo satrapią. Tłumaczy to wszystko: i Anglię i Francję;

Od Administracji

Komplety numerów „Zaczynu” od początku wydawnictwa t. j. od dn. 3 grudnia 1936 r. wysyłamy po wpłaceniu na nasze konto czekowe w P. K. O. Nr. 25.544 należności 1 zł. miesięcznie i 2 zł. 50 gr. trzymiesięcznie.

Komplet numerów za grudzień 1936 r. — maj 1937 r. włącznie kosztuje 5 zł.

może być forma nawet totalna, a jednak (na przekór rzekomym talmudystom i baidaczom — złym zresztą — pisma demokratycznego) treść demokratyczna. I na odwrót. Decyduje kultura demokratyczna społeczeństwa.

Postawa demokratyczna, czyli stosunek człowieka do człowieka i do zbiorowości, kultura życia zbiorowego to sens i istota demokracji, to jej treść.

Jeśli postawa jest demokratyczna, nie zaszkodzi jej niedemokratyczna forma. Bo o tym, żeby dziś społeczeństwa rządziły wielkimi państwami, nie ma mowy. To jest iluzja, wiara wariatów. Społeczeństwa tylko w mniejszym lub większym — częściej jednak mniejszym stopniu — wpływają na kierunek rządów, ale same nie rządzą. I to jest demokracja XX wieku: postawa demokratyczna i wpływ na kierunkowość.

A u nas? Czy dziś możemy iść na „opinię publiczną”? Czy mamy pewność, że przy wolności demokratycznej, endecja z przybudówkami nie urządziłaby gigantycznego pogromu lub nie nieuszkodliwiani komuniści nie doprowadziliby narodu do zguby politycznej?

Przed takimi możliwościami chroni kultura demokratyczna. My jej, niestety, nie mamy. Demokrację można by u nas wyzyskać dla celów niedemokratycznych. Daj nam Boże postawę demokratyczną Anglika lub Francuza, a jeszcze lepiej obywatela szwajcarskiego.

Ale przed tym musimy się jej nauczyć, poprostu uczyć się jej. Lecz nauka dzieci o maszynie parowej to nie to samo, co jeżdżenie na lokomotywie. Więc nauka demokratyczności nie oznacza wprowadzenia w życie demokracji z całym jej bagażem. Gdyby tak było, wystarczyłoby dziś u Buszmenów „założyć” parlament, a za lat 10 w Środkowej Afryce kwitłaby demokracja centralno-afrykańska.

Takie głupstwa wywietrzały już z głów idealistów i laików pięćdziesiąt lat temu. Co prawda stało się to na zachodzie Europy, bo u nas przebąkuje się coś nie coś na tę melodię jeszcze dziś.

Uczyć się więc trzeba demokracji, a nie jeździć na niej, jak na lokomotywie. Wybory dałyby zwycięstwo opozycji, ale na pewno bez demokratycznych dusz i umysłów jednostek, wybory takie wróciłyby nas do stosunków z przed 1926 roku. Coś się? Po co?

Dzisiejsze czasy brutalizmu i siły nie sprzyjają eksperymentom z ryzykiem ochłokracji, rządów tłuszczy. Warunki nasze nie pozwalają na bawienie się w fikcję.

Oprzeć się o lud? Bezwzględnie! Bez niego jest tylko nędzna fikcja władzy i siły. Ale sposób oparcia się jest do dyskusji. Pewne tylko jedno: trzeba się do demokracji przygotować. Może się jednak okazać, że do tego czasu świat znajdzie inną drogę i Polska też. (98)

N A T E M A T F A S Z Y Z M U...

P. René Benjamin napisał książkę o Italii¹. Przecinałem jej kartki z uczuciem zadowolenia i pogody, jakie budzi zaufanie do autora. Przede wszystkim do stylu pisarza. Bo nie ma nic bardziej nieznośnego, gdy się chce poznać życie innych krajów, jak przebijanie się przez gąszcz zwrotów, może pełnych treści, nawet pisanych przez ludzi znających stosunki, o których mówią, ale męczących brakiem owego ducha, co z najbardziej jałowego tematu potrafi wywieść stronicę przykuwającą czytelnika. Niestety tym razem twórca „La prodigieuse vie d'Honoré de Balzac”, nie stał na wysokości zadania. Zgrzeszył nadmiarem entuzjazmu.

Bardziej przekonujące byłyby pochwały istotnych osiągnięć faszyzmu, niż rozpływanie się z zachwytem nad wielkimi tablicami, głoszącymi sentencje państwotwórcze na każdym rogu ulicy, na każdym moście i na wszystkich drogach i zestawianie ich z reklamami likierów i win, napoitekanyymi we Francji. Pozwólmy ludziom pić wino, zwłaszcza gdy jest tak dobre.

Są tematy, które silniej uwydatnia wymowa cyfr statystycznych i suche wyliczanie faktów, niż najbardziej nawet szczere zachwyty. Do takich należy faszyzm. Ustrój ten przeszedł już dawno okres tworzenia się, walki o wpływy, wreszcie okres rozrastania się w społeczeństwie. Można już mówić nie o jego planach i nadziejach, ale o realnych osiągnięciach. A te są niewątpliwie ogromne. Rzeczywistą ich wielkość rozumie się, porównyując Włochy obecne, nie do innych państw europejskich, ale do Włoch przedwojennych, historycznych. Zestawienie to jest rewelacyjne. Naród rozrywany stale waśniami wewnętrznymi, niezdolny do trwałego wysiłku, zapalający się łatwo, ale zniechęcający jeszcze łatwiej, jak najbardziej daleki od myślenia o dobru ogółu, traktowany przez licznych turystów z lekkim poczuciem wyższości, jaką ma płacący gość wobec hotelarza i przygodnego grajka — opiewany przez setki poetów zebrak w łachmanach wylegający się w słońcu ulic Florencji, Wenecji, Ferrary, a zbyt leniwy, by przepuścić przejeżdżającą dorożkę — zmienił się w państwo zwarte, świadome swojej godności, bogactwa i mocy. W państwo totalne. Znajdzie się wielu, którzy będą twierdzili, że te możliwości leżały zawsze w naturze narodu włoskiego. Nie przeczę, ale śmiem twierdzić, że leżą one w naturze każdego narodu. Prostu w naturze ludzkiej. I to tak, jak „w naturze” bezkształtnej bryły marmuru drzemie przyszła rzeźba.

Chodzi tylko o to, by je powołać do życia. Tego właśnie dokonał faszyzm. Przyszło mu to tym łatwiej, że nie był obciążony żadną doktryną społeczną, w dawnym tego słowa znaczeniu. Mógł bowiem budować, tworzyć rzeczy nowe. Zaprzeczył zasadniczo konieczności istnienia zwalczających się wzajem warstw społecznych, wskazał możliwości współpracy i do niej potrafił przymusić. Niemile to słowo, ale jakże realnie określające to, co jest zawsze motorem działań ludzkich. Bo przymusem jest konieczność zdobycia środków na utrzymanie swoje i rodziny, przymusem, chęć zdobycia władzy i sławy, przymusem miłość ojczyzny. Jest cprawda różnica między przymusem zewnętrznym a wewnętrznym. Bez wydobywania tego ostatniego, żaden ustrój nic wartościowego działać nie potrafi. Środki policyjne wyczerpują się szybko. To też zaślepieniem jest sądzić Włochy miarą z przed lat piętnastu. Symbolem ich jest nie policjant z pałką luźno tkwiącą w futerale, ale wie-

śniak zbierający plony na dawnych błotach pontyjskich, i kobiety oddające złote obrączki na skarb narodowy.

I tu znowu trzeba przypomnieć dawne rozprężenie Włoch. Bo większe roboty publiczne przedsięwzięte się w spokojnej Holandii i niemniejszym wykazały się patriotyzmem kobiety francuskie, niemieckie, polskie, w czasach trudnych dla ojczyzny.

Zwycięstwem Italii jest to właśnie, że teraz można porównywać jej osiągnięcia w wielu dziedzinach, do osiągnięć krajów o znacznie lepszych warunkach naturalnych.

Mówiłem, że faszyzm nie wyznaje żadnej doktryny społecznej. Nie znaczy to, by pomijał warstwy najbardziej upośledzone. Główny jego wysiłek jest skierowany w stronę rolnictwa i robotników. Ci dostali nagle, bez masówek, meetingów, strajków, umowy zbiorowe, płatne urlopy, czterdziesto-godzinny tydzień pracy, zabezpieczenie swych interesów na wypadek bankructwa przedsiębiorstwa, lub jego sprzedaży, na wypadek choroby lub powołania do wojska. Wszystko to, o co od lat walczą ich rówieśnicy w państwach demokratycznych. Faszyzm odebrał im swobodę strajków, ale dał jednocześnie możliwość upominania się o ich prawa, stwarzając system korporacyjny. Ma on trzy cele. Przede wszystkim łączenie syndykatów, pośredniczenie między nimi w razie sporu „Jeden przedstawiciel robotników, jeden przedsiębiorców, jeden przedstawiciel partii faszystowskiej — we czwórkę rozstrzygają konflikty. Następnie czynność doradczą: informowanie państwa o wszystkim co dotyczy korporacji. Wreszcie ma za zadanie, uregulowanie produkcji, według potrzeb narodowych i międzynarodowych”.

Już w 1923, Mussolini mówił „Dla ludu właśnie się bijemy!” Dodawał także: „Przygotowujemy klasy robotnicze do miejsc kierowniczych, choćby tylko by je przekonać, że nie jest łatwo... kierować”. Bowiem faszyzm nie uważa, że wszystko kończy się tam, gdzie mózg zastępuje pracę rąk. Stara się ukazać wspólny cel wszystkim obywatelom: rozwój własnego kraju. Czy musi się on pokrywać z chęcią gnębienia krajów innych? Trzeba być pozbawionym wszelkiej wiary w rozwój ludzkości, by tak sądzić.

Znane są wysiłki rolnicze faszyzmu. Wszyscy widzieliśmy w kinie traktory orzące błota pontyjskie. Malkontenci twierdzą, że bułki, pieczone ze zboża tam ko-

szonego, nie taniej wypadną od ciastek. Tak jest prawdopodobnie. Ale inną miarę trzeba przykładać do ekonomii państwowej, niż do kieszeni prywatnego człowieka. Uwzględnijmy czynnik czasu.

Propaganda faszystowska, jak wiemy, nawołuje do zwiększenia liczby urodzeń. Ale daleką jest od pogardliwego odsyłania kobiet do osławionych niemieckich trzech „K”. I tu musimy podziwiać zmysł organizacyjny Mussoliniego. Zwołuje wielkie zebranie kobiet i przemawia do nich. W takich razach chce, żeby przyszły same, żeby przez cały czas mowy podlegały tylko jego wpływowi. Wtedy ukazuje im misję, jaką przeznaczył dla nich faszyzm. Misję opieki społecznej.

Największą jednak uwagę poświęca młodzieży. Odebrał ją z rąk księży i przy zgodzie z Watykanem.

Wychowanie faszystowskie zaczyna się w latach dziecięcych. Jak wytłumaczyć ogromne powodzenie tej akcji? Charakterystyczne jest opowiadanie p. Beniamina, który asystował przy przeglądzie jednego z oddziałów Balilli przez ministra Ricci. Na wielkim stadionie, gdzie miała się odbyć rewidzyscyplinowanych smarkaczy, na pięć minut przed ich przybyciem, zjawił się... minister. To on ich oczekiwał, dając przykład punktualności, świadcząc o wadze tej uroczystości i jeszcze o tym, że jeśli maszerują w szeregu, to nie dla niego, ale po to, by nigdy nie zapomnieli, że nie są sami na świecie, że muszą umieć się słuchać i umieć dowodzić.

Czy jednak skoszarowanie całego narodu nie musi się odbić ujemnie na jego kulturze? Entuzjasta faszyzmu p. René Benjamin tak opisuje swoje wrażenia przy oglądaniu gospodarstw założonych na błotach pontyjskich: „Widziałem trzy tysiące ferm, wszystkie jednakowe, wszystkie ponumerowane, trzy tysiące ferm poczętych przez biurokratów, zbudowanych przez przedsiębiorców, trzy tysiące poronień...”

„— Zboże! Zboże! mówili faszyci. Boże jakie to piękne!

„A ja od nowa: Jakie domy! Jakie dachy! Co za zbrodnia! Boże, jakie to brzydkie!”.

Powiedział o tym pocziwiec Mussolinemu, na prywatnej audiencji. „Co za nieszczęście! — wołałem. W Italii! W boskiej Italii!”.

Il Duce pokiwał głową:

„— Nigdy o tym nie pomyślałem!”.

Tak, artyści nawet w ogniu entuzjazmu, to niewygodni ludzie. Ale potrzebni. (155)

B U S I D O (DROGA RYCERZY)

W lutym r. 1932, kiedy rozgrywały się zacięte walki między wojskiem japońskim a słynną dziewiętnastą armią kantońską w okopach przed Szanghajem, otrzymał kartę powołania również młody nauczyciel szkoły średniej w Nagasaki, który był równocześnie oficerem rezerwy. Człowiek ten był ponadto dopiero od kilku miesięcy żonaty, tak, że rozstanie się z żoną nie przyszło mu łatwo. Gdy przybył na teren walk w Szanghaju, otrzymał pierwszy — i ostatni — list z domu; list ten brzmiał: „Gdy otrzymasz tę wiadomość, ja już nie będę żyła. Popęłiłam samobójstwo, ażebyś Ty, walcząc za chwałę cesarza i ojczyzny, nie potrzebował już obciążać ducha myślą o Twojej żonie”.

Przeciętny Europejczyk nie zrozumie zapewne takiego postępowania, gdyż nawet sam będąc gorącym patriotą, uważałby jednak ofiarę tej żony japońskiej za bezużyteczną”. Trzeba jednak znać mentalność japońską w jej rozwoju historycznym, żeby zrozumieć takie przykłady samozaparcia się.

Otóż dzisiejsza etyka Japończyków wyrosła na tle kodeksu honorowego średniowiecznych rycerzy japońskich, t. zw. „samurajów”. Idealne postępowanie honorowe go człowieka w każdej sytuacji życiowej określa się mianem „busido” (droga rycerzy), które to słowo oznaczało już w X wieku szczyt rozwoju jednostki ludzkiej w Japonii. Wierność dla księcia względnie

¹) „Mussolini et son peuple”.

dzisiaj cesarza, opanowanie, szaleńcza odwaga, pogarda dla śmierci uchodziły zawsze za ideał rycerza; dopiero jednak zetknięcie się tej mentalności z duchem sekty buddyjskiej „zen“ (seкта medytacyjna) dało w rezultacie ów kodeks honorowy „busido“.

Sekta ta bowiem dążyła do systematycznego kształcenia woli, do podporządkowania wszelkich popędów natury ludzkiej sile charakteru, przy równoczesnym rozwijaniu najszlachetniejszych stron duszy ludzkiej. Idealny „busi“ czyli „samuraj“ powinien nie tylko być odważny, wierny swemu panu, patriotyczny i nieczuły na jakikolwiek ból, ale ponadto powinien być skromny, zawsze opanowany, rycerski dla słabych, groźny dla ludzi złych. Przede wszystkim musi on honor ojczyzny cenić nade wszystko, nawet nad własne życie.

Żeby jak najwcześniej rozwinąć te właściwości charakteru, stosowano w Japonii dawniej szczególnie ostry system wychowania. Młody samuraj już od szóstego roku

życia musiał dążyć przede wszystkim do całkowitego opanowania siebie. Gdy sztywniały mu np. zimną palce przy pisaniu znaków, nie wolno mu było ich rozgrzewać, przeciwnie, musiał je moczyć w lodowatej wodzie, żeby odzyskały giętkość. Już wcześniej ojciec zabierał syna na miejsce kaźni, gdzie dziecko musiało przyglądać się egzekucjom, nie okazując przy tym żadnego wzruszenia. Latem chłopiec musiał często spać na cmentarzach wśród grobów, żeby odzwyczaić się od jakiegokolwiek uczucia strachu. Równocześnie wpajano mu bezgraniczną miłość dla ojczyzny, tak, że uważał śmierć na polu bitwy za najwyższy zaszczyt. Tak wyrastali w dawnej Japonii ludzie twardzi, opanowani, ale i szlachetni i sprawiedliwi.

Nadszedł, w zeszłym wieku, czas przełomu, kiedy na rozkaz cesarza cały naród zaczął w tempie pośpiesznym przyswajać sobie zdobycze cywilizacji zachodniej, żeby jak najprędzej dorównać narodom europejskim.

Znikła kasta drobnej szlachty, jako odrębny stan — ale, miesząc się z resztą narodu, wywierali „busi“ tak potężny wpływ na masy, że cały naród japoński przejął ostatecznie ich wysoką etykę. Mamy tu podobne zjawisko jak u nas w Polsce, gdzie nowo powstające mieszczaństwo zawsze zachowywało cechy swego pochodzenia szlacheckiego.

Zagadka sukcesów japońskich w każdej dziedzinie życia współczesnego ma swe źródło właśnie w wartościach charakteru narodowego, wyszkolonego przez tysiąc lat w duchu „busido“. Tylko tak można zrozumieć tajemnicę tej przepotężnej siły, która w ciągu kilkudziesięciu lat — jedyny bodajże wypadek tego rodzaju w historii świata — przekształciła państwo średniowieczne na mocarstwo światowe. — Bezgraniczny patriotyzm, ofiarność aż do zupełnego samozaparcia się, całkowite opanowanie własnego charakteru — oto wyniki „busido“. (17)

PALCEM PO MAPIE

Ubiegły tydzień był okresem nadzwyczaj płodnym w doniosłe wydarzenia na terenie międzynarodowym.

Najbardziej efektownym choć zgoła pozbawionym większego znaczenia był upadek rządu Bluma, który w najbliższym czasie, może nawet już w momencie, gdy słowa te ukażą się w druku, będzie zastąpiony przez niemal identyczny gabinet, oparty na tej samej parlamentarnej większości, jako że innej narazie we Francji nie ma.

Ow nowy gabinet stanie wszakże w obliczu tych samych trudności finansowych, które spowodowały ustąpienie rządu Bluma, a których strukturalnie nie będzie mógł rozwiązać, zarówno ze względu na obecny stan umysłów we Francji, jak ze względu na rosnące rozprężenie mechanizmu państwowo-społecznego, będące wynikiem zbyt swobodnej gry rozbieżnych sił politycznych, a także następstwem zgórą rocznych rządów najklasyczniejszej „kierzeńszczyzny“.

Wydarzenia sowieckie nadal zajmują opinię światową, przy czym wypada podkreślić, iż ów wielki wstrząs, uzewnętrzniający ostatnimi egzekucjami — Sowiety przechodzą o wiele lżej, aniżeli było by to do pomyślenia, w jakimkolwiek innym kraju.

Wedle wszelkich danych — życie tam płynie na ogół normalnie, oczywiście z tym zastrzeżeniem, iż tamtejsze pojęcia o „normalności“ są zgoła wyjątkowe.

Poza tym tamtejsi władcy doskonale znają psychikę mas, którymi wypadło im rządzić. W tym miejscu należy zwrócić uwagę, iż szeroka fala prześladowań t. zw. „wrogów ludu“, która daje się zauważyć po rozstrzelaniu ośmiu generałów i dotyczy jedynie wyższej lokalnej biurokracji partyjnej, omija szeregowego obywatela. Otóż (słusznie, czy niesłusznie) nie ma takiego kraju, na kuli ziemskiej, w którym urzędnik cieszyłby się popularnością. Tym bardziej w Sowieciech, gdzie wymagania ze strony państwa w stosunku do jednostki ludzkiej są najbardziej uciążliwe, zaś ekwiwalent w postaci warunków codziennego bytowania jest absolutnie niewspółmierny.

To też nie można się dziwić, iż w momencie prześladowań walących się z „góry“ na część sowiec-

kiej biurokracji — „likwidowani“ urzędnicy nie tylko nie napotykają na najłajdaczniejsze współczucie ze strony obywateli, lecz odwrotnie — niemal nieukrywając „schadenfreude“ (po rosyjsku — obrazowe: „złoradztwo“), na których to uczuciach stalinowska dyktatura w danej chwili bardzo wyraźnie spekuluje.

Gorzej jest ze „zlikwidowaniem“ wrażenia, wywartego przez ostatnie wydarzenia sowieckie za granicą. Narazie Moskwa przywiązuje duże nadzieje do przelotu samolotu ANT-25 ponad biegunem północnym do Stanów Zjednoczonych. Jeśli chodzi o Amerykę, kalkulacje te mogą okazać się słuszne, a to ze względu na tamtejszą mentalność, dzięki której m. inn. po zwycięstwie polskich jeźdźców na konkursach hipicznych w Madison Square w r. 1928 — nastąpiła zwyczajna polskich papierów na giełdzie nowojorskiej!

Pisząc o sprawach sowieckich, musimy raz jeszcze zmartwić naszych „milusińskich“, którzy wręcz doczekać się nie mogą „wszechzwiązkowego pogromu żydowskiego“, tak, jak gdyby od wprowadzenia „paragrafu aryjskiego“ w Sowieciech zależała pomyślność Państwa Polskiego. „Milusińscy“ oczywiście nie myślą o tym, że, poza fatalnymi skutkami dla naszej sytuacji międzynarodowej, o czym już pisaliśmy poprzednio — ewentualne „odżydzenie“ komunizmu — uczyniło by go w oczach bardzo szerokich rzesz w Polsce — wcale, a wcale atrakcyjnym...

Na szczęście — „milusińscy“ są absolutnymi ignorantami, jeśli chodzi o sprawy sowieckie, a nawet nie chce im się czytać uważnie depesz PAT'a z Moskwy. A więc rodzinie Kaganowiczów, uchodzącej za ekspozyturę międzynarodowego żydostwa na Kremlu — powodzi się nadal znakomicie. Aresztowany został nie brat członka „polit-biura“ Łazarza Kaganowicza II-gi wicekomisarz przemysłu wojennego Michał Kaganowicz, lecz I-y wicekomisarz tego resortu Romuald Muklewicz (z pochodzenia Polak), zaś trzeci brat, Jerzy Kaganowicz — stanął w ubiegłym tygodniu na czele organizacji partyjnej w Gorkim (d. Niżny Nowgorod), jednym z największych nowopowstałych ośrodków przemysłowych.

Innymi słowy — „żydo-komuna“ w Sowieciech prosperuje w najlepsze, czym zresztą z egoistycznego polskiego punktu widzenia (a na inny nas po prostu nie stać) — bynajmniej martwić się nie należy.

Zaryzykowalibyśmy nawet twierdzenie, iż wielkie osłabienie Sowieców w obecnej konfiguracji na terenie międzynarodowym mogłoby zachwiać równowagę w tej części Europy, zaś na utrzymaniu owej równowagi opiera się cała polska polityka zagraniczna.

Faktem jest, że minister spraw zagranicznych Rzeszy nigdyby nie odwołał swej wizyty w Londynie, oddawna zresztą przez Berlin wielce upragnionej — gdyby ostatnie egzekucje w Sowieciech nie wzmocniły aż w tak wielkim stopniu pozycji Niemiec wobec Zachodu. Do tych samych objawów zaliczyć należy ponowne zabiegi dokoła „paktu czterech“, z bardzo narazie nieobowiązującym przebąkiwaniem o Polskę, jako o ewentualnym piątym partnerze.

Na zakończenie wypadu wspomnieć o bardzo ciekawym rozwoju wydarzeń w Japonii. Oto największa z tamtejszych partii politycznych — „Minseitō“, hołdująca dotychczas programowi demokratyczno-liberalnemu i reprezentująca interesy japońskiego „Lewiatana“ wystąpiła zgoła niespodzianie z „totalistycznym“ programem, który absolutnie w niczym nie różni się od sformułowań obalonego przez tę samą partię gabinetu gen. Mayaszi.

Jest to objaw nadzwyczaj interesujący. Świadczy to bowiem, iż coraz szersze koła w Japonii dochodzą do słusznego przekonania, że realizacja planu mocarstwowego jest niemożliwa przy systemie wielopartyjnym. Z chwilą omawianego wystąpienia partii „Minseitō“ może się niebawem na wyspach japońskich rozegrać sensacyjne współzawodnictwo pomiędzy dwoma totalizmami: wojskowym i gospodarczym. Nie należy również wykluczać ewentualności kompromisu, tym bardziej, iż przy wielkiej koncentracji kapitalizmu japońskiego — fuzja trzech koncernów — byłaby już de facto nacjonalizacją niemal całości tamtejszego przemysłu, handlu i finansów. (66).

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544

Numer pojedynczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — trzymiesięczna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Leon Borkowski

Godziny przyjęć redakcji: 5–6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10–12 i 5–7.

Cennik ogłoszeń: za tekstem $\frac{1}{1}$ — 300 zł., $\frac{1}{2}$ — 160 zł., $\frac{1}{4}$ — 85 zł., $\frac{1}{8}$ — 45 zł., $\frac{1}{16}$ — 25 zł. Za wiersz milimetry — 70 gr. Układ tabelaryczny 50% drożej.